NASZ PRZYJACIEL

Dodatek do „Drwęcy".

Rok IV. Nowemiasto, 22 października 1927. Nr. 42.

Na niedzielę dwudziestą po Świątkach.

EWANGELJA

napisana u św. Jana w rodz. IV. w. 46—53.

Onego czasu był niejaki królik, którego syn chorował w Kafarnaum. Ten gdy usłyszał, iż Jezus przyszedł z Żydowskiej ziemi do Galilei, poszedł do Niego i prosił Go, aby zstąpił, a uzdrowił syna jego: bo poczyna umierać. Rzekł tedy do niego Jezus: Jeśli znaków i cudów nie ujrzycie, nie wierzycie. Rzekł do Niego królik: Panie, zstąp pierwej, niż umrze syn mój. Rzekł mu Jezus: Idź, syn twój żyw jest. Uwierzył człowiek mowie, którą mu powiedział Jezus, i szedł. A gdy już zstępował, zabieżeli mu słudzy, i oznajmili mówiąc, iż syn jego żyje. Pytał się tedy od nich godziny, której mu się polepszyło. I rzekli mu: iż wczoraj siódmej godziny opuściła go gorączka. Poznał tedy ojciec, iż ona godzina była, której mu rzekł Jezus: Syn twój żyje! I uwierzył sam i wszystek dom jego.

Szanuj twoich rodziców i bądź im wdzięczny!

Prosił go, aby zstąpił, a uzdrowił syna jego, bo poczynał umierać. Tak to już Bóg zrządził, że rodzice dzieci swoje kochają i, że aby je poratować i dla dobra ich, na niezliczone wysiłki i starania się zdobywają i nawet na to nie narzekają, chyba że który ojciec albo matka zachwiali się w wierze lub też ją całkiem utracili. Albo mało tego, że matka dziecko w boleściach zrodziła, mlekiem własnem karmiła, we dnie i w nocy spokoju sobie nie dawała, że ojciec pomiędzy najuboższymi całe dziesięć, a pomiędzy bogatszymi dwadzieścia lat i więcej na dziecko ciężko pracował i nieraz sam sobie od ust odejmował, byle tylko dziecko wychować i o ile możności dobrą przyszłość mu zgotować. Jakżesz mało za to doznają rodzice wdzięczności od dzieci swoich. Wszak bardzo stare już przysłowie mówi słusznie, że częściej się zdarza, że jeden ojciec dziesięcioro dzieci wyżywił, niż żeby kupa dzieci wyżywiła jednego ojca. A w naszych czasach pod tym wzglę-

dem wcale nie jest lepiej. Owszem nieraz bywa, że im więcej rodzice dzieci swoje kochają i im dogadzają, tem łatwiej dzieci tak przywykają do hojności i usłużności rodziców, że zaczynają ją sobie lekceważyć, a wkońcu domagają się od rodziców niewiedzieć czego i wszelkiej ofiarności, jakby oni wobec rodziców wszelkie i same tylko prawa, a żadnych nie mieli obowiązków. Nieraz bardzo wcześnie uczą się dzieci zamiast słuchać rodziców, narzucać im wolę swoją, zamiast przyjmować z pokorą i wdzięcznością upomnienia rodzicielskie, łajać ich w oczy lub przynajmniej za oczy, utrudniać i zatruwać im życie, zamiast im je ułatwiać i bodaj trochę osładzać. Skądże to pochodzi? Czasem stąd, że rodzice nie przyuczali, jak byli powinni, dzieci swoje słowem, przykładem, a w razie potrzeby i rózgą do bojaźni Bożej i karności Pańskiej; czasem stąd, że zamało pilnowali, z kim ich dzieci przestawiają i od kogo uczą się złego: czasem wreszcie jest kara Boża na rodziców, że niegdyś swoim rodziców źle się wysługiwali, a niekiedy jednak jest w tem niezbadane dopuszczenie Boże.

OSTATNIA WOLA MATKI. 1

I.

W testamencie kupcowej W. zmarłej przed 30 laty w Warszawie znajdował się następujący ustęp:

„Z majątku mego przeznaczam 100 rubli dla kościoła parafjalnego i życzę sobie, aby za przypadające procenta od tejże sumy corocznie w Nowy Rok odprawioną była msza św. za spokój mej duszy, na której mają być zawsze obaj moi synowie Włodzimierz i Franciszek, jedyni moi spadkobiercy. Gdyby zaś który z nich w dniu tym nie znajdował się w Warszawie, ma w miejscu swego pobytu dać na mszą św. i być na niej obecnym. Po 30 latach może być ów kapitał fundacyjny odebranym, lecz jedynie za zgodą i porozumieniem obu braci, gdyby obaj byli jeszcze przy życiu. Jeśliby jednak Pan Bóg nie dozwolił synom moim przeżyć mię lat 30, ma kapitał na ten sam cel pozostać na wieczne czasy własnością kościoła."

Było to w czwartym roku po śmierci matki. Włodzimierz i Franciszek wyszli właśnie z kościoła, w którym odprawiała się msza św. za duszę matki, i uszedłszy parę kroków zatrzymali się na chwilę.

— No, cóż mi powiesz nowego? — zapytał się starszy Franciszek, mężczyzna mogący wówczas liczyć lat 32.

— O pomoc proszę cię, Franciszku — odrzekł Włodzimierz i błagalnym wzrokiem spojrzał na brata.

Każdego obcego byłby do łez poruszył widok nędzy, jaki się na twarzy dopiero lat 22 liczącego Włodzimierza odbijał, tylko brat rodzony pozostał nieczuły jak kamień. I nic dziwnego, bo nigdy nie zaznał on, co to nędza; powodziło mu się bardzo dobrze, a teraz był jednym z najbogatszych fabrykantów Warszawy.

— Już znowu przychodzisz żebrać — odparł szorstko.

— Już znowu powiadasz? — odezwał się młodszy brat cichym, ale wzruszonym głosem. — Przecież dopiero raz pożyczyłeś mi 10 rubli. Ty dostałeś po matce 4000, ja tylko 2000. Widocznie sądziła matka, że jako starszy o lat dziesięć, będziesz łożył na me wykształcenie, ty jednak tego nie uczyniłeś.

— Zawsze mówisz tylko o wykształceniu — zaśmiał się szyderczo Franciszek. — No, no, na cóżeś się to wykształcił?

— Jestem malarzem...

— A więc maluj, mój kochany, a mnie pozostaw w spokoju. Ja nie mam pieniędzy. Popatrz tylko, w jakiem wyszarzanem chodzę futrze, aż wstyd doprawdy.

Młody malarz trzęsąc się od zimna podniósł kołnierz swego wytartego tużurka, aby się choć trochę uchronić od przenikliwego wiatru, i spoglądając na futro brata, które zawsze jeszcze miało wartość przynajmniej 200 rubli, rzekł spokojnie:

— Ty odziedziczyłeś także i po ciotce cały jej majątek, mnie ani grosza nie zapisała.

I miała zupełną słuszność, ty jesteś niepraktycznym, nieporadnym człowiekiem.

— Tak, ty zawsze byłeś tego zdania, i wmawiałeś to w ciotkę tak długo i z taką wytrwałością, aż uwierzyła w te słowa i uczyniła cię jedynym spadkobiercą. Przez nią stałeś się bogatym, ja pozostałem ubogim; dzisiaj nie mam nawet tyle, aby mieszkanie zapłacić i kupić dla siebie i żony kawałek chleba...

— Sam sobie winieneś! Ożeniłeś się w 21 roku życia i do tego z dziewczyną nie mającą ani grosza... Los twój był do przewidzenia, a sam sobie przez nierozwagę i głupią poetyczną naturę zgotowałeś. Twierdzisz, żem cię niesłusznie o nieporadność posądzał, dajże więc teraz dowody, że jesteś mężczyzną i sobie w niedoli sam umiesz pomóc. Ja nie mogę nic uczynić, nie mam pieniędzy.

— Bracie, tylko o parę rubli cię proszę na dwa lub trzy tygodnie.

— Nie mogę, nie mam nic, zresztą już raz ci pomogłem!

— Proszę cię!

— Daj mi spokój, nie nudź mię więcej!

I z temi nieludzkiemi słowy na ustach oddalił się spiesznie.

Niewymowna boleść opanowała duszę młodego malarza, nie spodziewał się bowiem, chociaż znał brata jako człowieka bez serca, aby ten mógł się tak szortko, tak nielitościwie z nim obejść i nie pożyczyć nawet kilka rubli. Zwątpienie opanowało nim zupełnie. Wszedłszy do swej skromnej i zimnej izdebki, nie przywitał nawet żony, nie spostrzegł nawet jej radosnego uśmiechu, z jakim go witała, usiadł bezwładnie i powiedział tylko:

— Ach Anielo, jakżem ja cię nieszczęśliwą uczynił....

— Nieszczęśliwą? — zapytała z wyrzutem żona — dlaczego nieszczęśliwą? Ach, wiem już! Brat twój odmówił zapewne pomocy i może jeszcze przykro dał ci uczuć nasze położenie. Ale nie rozpaczaj mój mężu: bo gdzie jest niedola największa, tam pomoc Boża najbliższa.

I zaraz sprawdziło się to przysłowie. W sąsiedztwie malarza mieszkała poważna, starsza kobieta, która w wielkiej przyjaźni żyła z żoną Włodzimierza. Tegoż dnia powracała z kościoła i przypadkowo podsłuchała rozmowę braci.

— Biedni — rozmyślała sobie — potrzeba im koniecznie pomóc, ale jak ? aby to nie wyglądało na jałmużnę.

I przez całą drogę rozmyślała, w jakiby sposób pomóc malarzowi.

Włodzimierz właśnie zabierał się do jednego ze znajomych, aby go prosić o parę rubli, gdy w tem otworzyły się drzwi i sąsiadka ich weszła do pokoju, niosąc w ręce dwa stare obrazy.

— Panie Włodzimierzu — rzekła — sądzę, że pan będzie tak dobry i w jaknajkrótszym czasie odnowi mi te obrazy, są to portrety naszych przodków, a właśnie nadchodzą imieniny syna, chciałabym więc przesłać mu je w upominku.

I położyła na stole jako zadatek 50 rubli. Dobra kobieta nie zdradziła się ani jednem słowem, że słyszała rozmowę braci i, że odnowienie obrazów było tylko wybiegiem.

Jakaż to radość, jakież szczęście zapanowało nagle w domu malarza. Włodzimierz wziął się rączo do roboty, i za parę dni wykończył obrazy, za co dostał jeszcze 200 rubli. 200 rubli! To suma, jakiej Włodzimierz w życiu nie oglądał, postanowił też przenieść się do Włoch, do tej odwiecznej szkoły malarzy, aby na niedościgłych wzorach mistrzów włoskich, kształcić się dalej, a może tu pod włoskiem niebem, Bóg ześle mu lepsze szczęście, niż w ojczyźnie! (C. d. n.)

Wieśniak przy telefonie.

Poczciwy szlachcic ze wsi jest we Lwowie ze swoją żoną. Pewnego dnia zostawia małżonkę w hotelu, a sam idzie odwiedzić znajomego. Znajomy zaprasza go bardzo gościnnie na obiad.

— Skorzystałbym chętnie z tego zaproszenia, ale nie uprzedziłem żony, czekać będzie na mnie...

— Możemy na to poradzić, zatelefonuj do niej, że cię zatrzymałem... Masz tutaj aparat — mówi gościnny gospodarz i nie wiedząc, że gość ma bardzo słabe pojęcie o telefonowaniu, wychodzi do drugiego pokoju.

Szlachcic zakłopotany trochę, zbliża się do aparatu, kręci korbą i woła :

— Halo, halo !

— Halo! — odpowiadają mu — co pan sobie życzy ?...

— Chciałbym się rozmówić z moją żoną — odpowiada szlachcic.

— Który numer?

— Który numer ! — wrzeszczy wieśniak — cóż pan myślisz, do djabła, że ich mam kilka ? !